

OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBROŃCY

**Wywiad z Ryszardem SZABLÓWSKIM
przeprowadzony przez Grzegorza Kaczorowskiego
w Nowej Soli, dn. 15 lipca 2008 roku**

Nazywam się Grzegorz Kaczorowski. Jestem ankieterem Fundacji KOS, która prowadzi badania zatytułowane „Ostatnie ofiary stalinizmu” i „Ocalmy od zapomnienia”. Celem badania jest zebranie relacji osób, które są ofiarami represji w okresie od 1945 do 1989 roku, ze szczególnym uwzględnieniem okresu stanu wojennego. Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny, nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery.

Czy mógłby się Pan przedstawić?

Nazywam się Ryszard Szablowski.

Gdzie i kiedy Pan się urodził?

Urodziłem się w Nowej Soli, 5 sierpnia 1954 roku.

Chciałbym porozmawiać chwilę na temat historii Pańskiej rodziny. Kim byli Pana rodzice, jaki wykonywali zawód, gdzie pracowali?

Dzięki Bogu rodzice jeszcze żyją. Pochodzą ze wschodnich terenów [dawnej Rzeczypospolitej]. Niedawno obchodziliśmy 65 rocznicę mordu Ukraińców na Polakach i właśnie jedną z ofiar tego ludobójstwa był mój dziadek, ojciec mamy. Oboje rodzice pochodzą z okolic Jazłowca. Mama urodziła się w Buczaczu, a tata w Jazłowcu. Po wojnie rodzice sprowadzili się tutaj, do Nowej Soli. Mama pracowała w fabryce „Odra”, a tata w zakładach metalurgicznych. To były dwa największe zakłady w mieście. Tata pracował na odlewni jako brygadzysta, mama w laboratorium badała wytrzymałość nici.

Czy ma Pan rodzeństwo?

Mam jeszcze dwóch braci i siostrę. Jestem najstarszy.

**Czy Pana rodzice byli zaangażowani w działalność społeczną, bądź polityczną?
Czy należeli np. do PZPR, ZSL, bądź SD?**

Rodzice nie działali nigdzie. Ojciec przyszedł do Polski z II Armią Wojska Polskiego. Działania zakończył pod Budziszynem. Natomiast dla mamy największym przeżyciem była śmierć jej ojca, o której już mówiłem. Mama miała jeszcze brata, który w czasie wojny poszedł na front i odnalazł się w latach 60-tych w Australii. Wcześniej, tuż po wojnie, był w Anglii. Kontakt z rodziną nawiązał dopiero po 1966 roku, po śmierci mojej babci Anny. Rodzice nie angażowali się, nie byli w PZPR ani w żadnych innych satelickich partiach. Przy czwórce dzieci mieli się czym zajmować.

Jakie wartości zostały Panu zaszczerpione w domu?

Najważniejsze, co rodzice przekazali całej naszej czwórce to wiara i miłość do Boga. Może nie jesteśmy jakoś bardzo religijni, ale wszyscy jesteśmy wierzący i uczestniczymy w tych podstawowych działaniach i pracach Kościoła. Szczególnie pamiętam, jak żyła babcia, to ona najbardziej na mnie wpływała. W Adwent uczyła mnie kolęd, na ministranta mnie wy kierowała.

Porozmawiajmy na temat Pana zaangażowania społecznego i politycznego. Czy należał Pan do jakichś organizacji młodzieżowych, społecznych politycznych...?

W szkole i potem w pracy (bo rozpocząłem pracę w zakładach metalurgicznych w wieku 20 lat)nie należałem do żadnych organizacji, aczkolwiek byłem otoczony takimi ludźmi, bo w jednym pokoju był przewodniczący zakładowego ZMS-u i sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR. Próbowali na mnie wpływać, ale dzięki Bogu, jakoś się nie skłoniłem.

Kiedy rozpoczął Pan działalność opozycyjną?

Może najpierw odpowiem, jak się zainteresowałem polityką. Już po śmierci babci, w roku 68 ostatni raz byłem na koloniach w Łebie. Kiedy wracałem, wyszła na dworzec mama i strasznie na peronie płakała. Nie wiedziałem co się stało, a ona mówi, że Rosjanie najechali na Czechosłowację. Bardzo to wtedy przeżyłem, choć już wcześniej w marcu 1968 też coś się działo, ale jeszcze tak do mnie nie dotarło. Ale na tym dworcu dotarła do mnie, kilkunastoletniego chłopaka, polityka. Miałem wujka w Gdańsku i Wydarzenia Grudniowe 1970 roku też były dla nas ważne. Dowiadywaliśmy się z pierwszej ręki. W 74 roku poszedłem do pracy, a w dwa lata później były wydarzenia czerwcowe i u nas w zakładzie były przestoje w pracy, demonstracje itp., znowu polityka. Po sześciu latach wybuchła Solidarność. Wydarzenia najpierw w Świdniku i Lublinie, a potem- wiadomo. Na okrągło słuchaliśmy Wolnej Europy. Wszystkie wydarzenia sierpniowe, kolejne wywalczone punkty, to była wielka radość. Pamiętam jak Wolna Europa mówiła, że gdyby tylko ten jeden punkt wypalił: Wolne Związki Zawodowe- to już byłoby dużo. Później, we wrześniu, w Dozamecie też tworzyły się Wolne Związki Zawodowe. Zakład był duży, zatrudniał 3 tys. nowosolan, pracowano na trzy zmiany. Powstał Komitet Założycielski Solidarności. Brałem w nim udział, ale ani nie kandydowałem ani nie miałem ambicji przywódczych, ale byłem aktywny, nawet zgłosiłem jednego kandydata do zarządu.

Czy przystąpienie do związku było dla Pana czymś naturalnym? Jakie motywy skłoniły Pana, by zaangażować się legalną działalność związkową?

Nie było ani jednej chwili zastanowienia. To było tak, jakbym nareszcie znalazł swoje miejsce. Nie wspominałem jeszcze jak wielkim przeżyciem była dla nas rok wcześniej pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny. Moja mama była akurat u brata w Australii, więc nagrywałem dla niej z radia i telewizji wszystkie homilie. A technika nie była taka jak teraz. Nagrywając, sam byłem zmuszony słuchać tego bardzo uważnie.

Moja działalność na dobre rozpoczęła się wtedy, kiedy nastąpiło zastraszanie części działaczy, którzy wykazywali się mniejszą odwagą. We wrześniu 1981 roku wyjechałem do Hamburga, żeby się trochę dorobić i wróciłem 1 grudnia. Po dwóch tygodniach, a mieszkalem jeszcze wtedy z rodzicami, budzę się i zastanawiam, dlaczego w radiu ciągle przemawia Jaruzelski. A mama miała włączone radio w niedzielę, bo jak nie szła do kościoła to słuchała mszy (Solidarność to wywalczyła). A tu Jaruzelski... Idę w piżamie do kuchni, robię herbatę i już wiem, o co chodzi. Spojrzeliśmy sobie z mamą w oczy i już wiemy, że jest tragicznie.

Czy jeszcze przed stanem wojennym angażował się Pan bardzo w działalność związkową?

Do stanu wojennego nie bardzo.

Czy do czasu stanu wojennego towarzyszyła Panu świadomość, że za działalność związkową mogą grozić jakieś represje?

Nie, do 81 roku związki działały legalnie, ale już trzeba było o pewne rzeczy walczyć, np. o wolne soboty, bo w zakładzie nie przestrzegano wszystkich ustaleń. Straszono nas, kiedy nie przychodziliśmy w wolne soboty. Potem w marcu 1981 było pobicie Rulewskiego w Bydgoszczy. Czyli ta atmosfera zastraszenia narastała. Już wiadomo było, że mocne zaangażowanie się w prace Solidarności może czymś grozić.

Przejdźmy do czasu stanu wojennego. Jaki był Pana stan cywilny?

Byłem kawalerem. Tak, że było mi łatwiej.

Rozumiem. Nie odczuwał Pan brzemienia odpowiedzialności za rodzinę.

Pracował Pan cały czas w tym samym miejscu pracy?

Tak, w biurze konstrukcyjnym, jako racjonalizator.

Czym było dla Pana wprowadzenie stanu wojennego?

Jak już powiedziałem, czymś tragicznym. Wyjrzałem przez okno, jechały skoty. Ludzie nie bardzo wiedzieli, o co chodzi, więc do nich machali. To było w niedzielę. A w poniedziałek, kiedy trzeba było iść na 7 do pracy, to już był szok. Do pracy miałem bardzo blisko, ze 100 metrów. Patrzę, a przed bramą wielki tłum. Co jest grane? 20 strażników sprawdzało przepustki, dowody osobiste... Żeby wejść do zakładu trzeba było się dokładnie wylegitymować.

Czy w okresie stanu wojennego rozpoczął Pan działalność podziemną? I jak przebiegał stan wojenny w Pana przypadku?

Muszę powiedzieć, że zaczął się niejako po drugiej stronie barykady. Jak powiedziałem, było dużo wartowników po bramach, a musieli to być ludzie zaufani i zaangażowani w tamten ustrój. Do końca roku kierownicy wydziałów mieli obowiązek zgłosić po kilka osób do straży przemysłowej, która pilnowała porządku. I jedną z takich oddelegowanych osób stałem się ja. Były szkolenia, nie jakieś polityczne, ale porządkowe. Co robić z ludźmi przy wpuszczaniu etc. Dostałem mundur, buty. Służba trwała od 7 do 19 i od 19 do rana. Na zmiany. Kiedyś rano, gdy stałem na bramie podszedł do mnie członek zarządu zdelegalizowanej zakładowej Solidarności, Stanisław Grabarczyk i zapytał, czy będę zbierał składki m.in. na internowanych. Zgodziłem się od razu. My jeszcze sami nie wiedzieliśmy, czego się po sobie nawzajem możemy spodziewać w tej nowej sytuacji. To był początek stycznia 1982 roku. Wtedy zaczęła się tworzyć siatka. Kiedy miałem wolne szedłem do biura, rozmawiałem z ludźmi... W tej straży przemysłowej byłem do końca stycznia. Już wtedy na 80 pracowników biura 50 osób regularnie płaciło składki na internowanych i na związek zawodowy. Początkowo odbywało się to tak, że jak siedziałem w biurze, gdzie pracowałem z trzema osobami, przychodzili co chwila ludzie i dawali mi po 100 zł. Ci moi koledzy z pokoju zaczęli się śmiać i mówią: „Aleś ty napożyczał tych pieniędzy.”. Potem zmieniłem taktykę i sam chodziłem i zbierałem. Początkowo działałem tylko w biurze konstrukcyjnym, nawet nie na innych wydziałach. Biuro było trzy poziomowe. Na drugim piętrze mieścił się główny konstruktor, piętro niżej główny technolog... Później między nami wytworzyła się więź, po roku-dwóch obsługiwałem cały zakład, a potem „wychodziłem” także na miasto. Miałem taką ciekawą pracę, że byłem racjonalizatorem i konstruktorem opakowań. Pod maszyny, wysyłane na eksport albo na targi, trzeba było zrobić drewniane skrzynie do transportu. Często wchodziłem na wydział produkcyjny,

gdzie się produkowało te maszyny i gdzie pakowano... Miałem swobodę poruszania się.

Czy zajmował się Pan również kolportowaniem prasy, ulotek..?

Oddając składki otrzymywałem od tych samych ludzi ulotki, wydawnictwa. I to zarówno miejscowe, nowosolskie, jak i drukowane gdzie indziej. Najwięcej przychodziło z Wrocławia, ale z czasem były też ogólnopolskie książki, biuletyny. Oprócz tego my, nowosolanie, mieliśmy to szczęście, że mamy tu dobrą parafię- ojców kapucynów- i od samego początku na procesji Bożego Ciała proboszcz z tamtych czasów, ojciec Juliusz, który był niepozornego wzrostu, ale głos miał donośny, potrafił mówić o przyczynach stanu wojennego i potrafił naprawdę natchnąć ludzi. Oprócz tego inni zakonnicy- ksiądz Bogusław, ksiądz Andrzej prowadzili msze za Ojczyznę. Był zespół, który śpiewał: „Pomódl się bracie, siostrzo za Polskę, za Solidarność!”. To było naprawdę bardzo podniosłe i bardzo potrzebne, i kościoły były pełne. Były miejskie struktury Solidarności, których szefem był Stefan Bąk. On, kiedy wyszedł z aresztowania (przeszedł gehennę) prowadził przy kościele działalność skierowaną do ludzi z miasta. Organizowaliśmy co miesiąc msze za Ojczyznę, a mając takich pięknych duchownych dostaliśmy z czasem jeszcze większy dar. Dostaliśmy ojca Ryszarda, który przyszedł w 1985 roku i on brał na siebie wszystko. To był taki nowosolski ksiądz Popiełuszko. On skupił wokół siebie całą opozycję. Zaczęliśmy się bardziej poznawać jako ludzie nie tylko z zakładu, ale jako członkowie lokalnej, miejskiej społeczności. Oprócz mszy za Ojczyznę odbywały się również msze w rocznice wielkich wydarzeń narodowych- 3 maja, 11 listopada... Potem doszedł 15 sierpnia i różne „święta zapomniane”. Mieliśmy odwagę. Oporniki nie były u nas modne, ale znaczki Solidarności w klapie nosiliśmy. Moja działalność stricte opozycyjna do 1985 roku toczyła się głównie na terenie zakładu pracy. Potem wyszedłem bardziej na zewnątrz. Wcześniej, w 1983, zapadła na wniosek Szczepana Bąka decyzja, że zostanie odtworzony sztandar Solidarności, który został uroczystie poświęcony 4 grudnia 1981r, a potem nam zabrany. Miałem odwagę, aby pojechać do Poznania po odbiór tego sztandaru. A jechałem dużym fiatem sprezentowanym przez brata mamy. Na owe czasy to był samochód luksusowy. Ryzykowałem, że mi ten samochód odbiorą jako narzędzie przestępstwa. Pojechaliśmy trzema grupami. Ja z dwoma kolegami samochodem, żona Szczepana Bąka autobusem i trzecia osoba autobusem. Chodziło o to, by esbecja zgubiła ślady. Wszystko dobrze się skończyło. 4 grudnia 1985 po mszy św. dla uczczenia Świętej Barbary kościół opustoszał. Pojawiło się kilkadziesiąt osób wtajemniczonych i o. Ryszard poświęcił sztandar. To była podniosła uroczystość, w której uczestniczyli księża ze wszystkich trzech parafii. Składaliśmy ślubowanie. Mnie spotkał ten zaszczyt, że znalazłem się w poczcie sztandarowym. To znaczy, że cieszyłem się zaufaniem. Drugim kolegą był nieżyjący już Janusz Małecki, który pracował w modelarni, i który z Józefem Guziakiem wykonał drzewce do sztandaru. Wyjeżdżaliśmy potem z tym sztandarem do Częstochowy na pielgrzymki ludzi pracy.

Gdzie był przechowywany ten sztandar?

Im się mniej wie, tym lepiej. Uważałem, że to jest jedna z głównych zasad konspiracji. Nigdy np. nie interesowało mnie, kto dostarcza ulotki i skąd je bierze. Tak samo nie interesowałem się, gdzie jest przechowywany sztandar. 4 grudnia było poświęcenie sztandaru, a 11 grudnia nastąpiło, można powiedzieć, huraganowa napaść esbecji na działaczy Solidarności. W 12 mieszkaniach przeprowadzono rewizje, 9 osób zatrzymano na 48 godzin, a ja oraz dwaj koledzy, którzy byli w poczcie sztandarowym otrzymaliśmy sankcje prokuratorskie. Aresztowano nas na 3 miesiące. Sam moment zatrzymania i aresztowania nastąpił w Nowej Soli. Wcześniej, 10 grudnia odebrałem od Janusza Małeckiego większą ilość bibuły. Był tam m.in. plakat z takim ładnym

chłopczykiem w koszulce Solidarności z napisem: „Mam pięć lat.”. Poszedłem do pracy na godzinę 6-tą, aby mieć czas tę bibułę posortować i zamelinować. Jak Józek zobaczył ten plakat, to mówi: „Rysiu, nie mam przy sobie pieniędzy, ale bym go wziął”. Ok. 9 wyszedłem na zakład, a na biurku zostawiłem taki twórczy bałagan, kilkanaście porzucanych skoroszytów. Ze sobą miałem plastikowy skoroszyt, w którym miałem ulotki. Nie mieliśmy skrzynek kontaktowych, materiały były przekazywane z ręki do ręki, w cztery oczy. Z częścią ulotek wróciłem do biura. Już od progu zobaczyłem, że przy moim biurku siedzi po cywilnemu człowiek, który od razu pokazał mi legitymację Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Zaproponował, byśmy poczekali na kierownika. Ale w międzyczasie zaczął mnie rewidować, po kieszeniach, po spodniach... A ja w rękę trzymam w tej teczce plik ulotek. Miałem na tyle przytomności umysłu, że położyłem tę teczkę na te inne i wymieszałem ją z tamtą stertą tak skutecznie, że do dzisiaj nikt nie wie, co się z nią stało. Naprawdę! Pytałem potem kolegów. Jak kamień w wodę. Chociaż było przeszukanie na biurku, znaleźli nawet ten plakat. Pokazywali sobie, że taki ładny... Znaleźli listę osób, które zrzuciły się kiedyś na kwiatki imieninowe dla szefa. Tych ludzi, Bogu ducha winnych, potem ciągal. Po tym przeszukaniu zabrali mnie do mnie do domu. Szedłem z dwoma panami po boku. W domu znaleziono duże ilości pojedynczych egzemplarzy. Większość odkładałem sobie jako dokument, bo wierzyłem, że kiedyś będzie to ważna sprawa historyczna. Zabrano mi cztery klasery znaczków, medale, miałem również 70 dolarów, miałem trochę złotych, ale przecież nie musieli wiedzieć, że to pieniądze związkowe. Jeszcze zanim weszliśmy do mieszkania zażądałem pokazania nakazu [rewizji]. Pokazali mi, a jakże. Po zakończeniu rewizji zabrali mnie do samochodu na cywilnych rejestracjach i zawieźli do komendy miejskiej Milicji Obywatelskiej, gdzie czekałem pół godziny, bo esbecy poszli na obiad. Później zostałem przewieziony do komendy wojewódzkiej.

Jaki zarzut Panu postawiono?

W pierwszym momencie nie stawiano zarzutów tylko to było przesłuchanie. Można było człowieka bez zarzutów zatrzymać na 48 godzin. Na komendzie miejskiej dopytywali się skąd mam ulotki, jak je kolportuję, dlaczego itp. Jeszcze jak ubecy jedli obiad, byłem pilnowany przez młodego chłopaka w mundurze milicyjnym. I patrzę, a tu wprowadzają Janusza Małeckiego. Miał bardzo nietęgą minę, z której można było wywnioskować, że jest niewesoło. Potem w Zielonej Górze, w wojewódzkiej komendzie tak samo, przez uchylone drzwi pokazano mi Andrzeja Gabryszewskiego. To on miał jeszcze na tyle cywilnej odwagi, że na udzie pokazał mi V. On mnie trochę podbudował, za co jestem mu do dzisiaj wdzięczny. W Zielonej Górze wieczorem zostałem przesłuchany, a następnie odprowadzony „na dołek”. Dostałem pajdę chleba, kostkę margaryny, czarną kawę. Na drugi dzień od rana było przesłuchanie. I jak jeszcze poprzedniego dnia próbowałem coś kręcić, że jeździłem do Warszawy, do Poznania, do Gdańska po ulotki, tak teraz, po ostrych naciskach z ich strony typu: „skąd, od kogo, kiedy” powiedziałem, że odmawiam składania wyjaśnień. Nie użyłem prawniczej formułki, tylko stwierdziłem: „Nie panowie, nie będę z wami rozmawiał.”. Postanowiłem, że dopóki wytrzymam fizycznie i psychicznie (bo nie wiedziałem co mnie czeka) nie będę się odzywał. Tak że w czasie następnych przesłuchań więcej mówili ci esbecy niż ja. Mam jeszcze ciekawe wspomnienie z komendy wojewódzkiej. Na drugi czy trzeci dzień, w trakcie przesłuchania siedziałem za biurkiem, na miejscu petenta i ten śledczy, młody chłopak, wziął takie dwie plastikowe linijki, jedną przezroczystą, drugą zwykłą. Złączył je z jednej strony, a z drugiej zaczął rozchyłać. Za ścianą słychać było jak na kogoś krzyczą i wyzywają go od imperialistów amerykańskich. Po chwili ten sam człowiek, który krzyczał, otworzył drzwi i tymi samymi słowami zaczął krzyczeć na mnie. A ja pokazałem te ulotki, które leżały przede mną, i które miały mnie obciążać, i

powiedziałem: „No, dzięki tym ulotkom dowiedziałem się, że Władek Frasyniuk siedzi 30 kilometrów stąd.”. Zbiłem go trochę z tropu tym twierdzeniem. Po przyjeździe pod celę siedziałem być może nawet na muszli i myślę sobie, co ten esbek robił z tą linijką. I pomyślałem sobie, że pokazywał mi V, że chciał mi dodać otuchy.

I co nastąpiło po 48 godzinach?

Po powrocie z tego przesłuchania, o którym mówiłem przyszedł do mnie kapitan (chyba nazywał się Michalski) i poprosił mnie na dyżurkę. Tam czekał prokurator Czesław Gądek i wręczył mi nakaz aresztowania na 3 miesiące. To było 13 grudnia 1985 roku. Taka była data na tym nakazie. I wymieniony artykuł 210 paragraf 1 i 217 paragraf 1 KPK. W uzasadnieniu było napisane, że „Ryszard Szablowski pozostając na wolności będzie utrudniał postępowanie”. Ponadto uznano, że dopuściłem się czynów o wysokiej szkodliwości społecznej. Przez pierwsze 5 dni siedziałem w areszcie wojewódzkiej komendy MO. Później zostałem zaobrączkowany z innym złodziejem i nyską milicyjną, tzw. suką przewieziony do aresztu śledczego na ulicy Łużyckiej w Zielonej Górze. Tam przebywałem do końca lutego.

Co działo się po wyjściu z więzienia? Czy był Pan w dalszym ciągu zatrudniony w swoim zakładzie pracy? Czy miał Pan problemy? I czy wrócił Pan do działalności kolporterskiej?

Przede wszystkim muszę powiedzieć, że zostałem mile przyjęty na wolności. Byłem kawalerem, mieszkałem z rodzicami. Kiedy wróciłem, wieczorem przyszli koledzy z Solidarności z kwiatami. To było budujące. Potem wybrałem się do kościoła. U świętego Antoniego Padewskiego, w Nowej Soli, po prawej stronie przy wejściu jest krzyż, a po lewej stronie wisiało ogłoszenie: „Módlmy się za uwięzionych w naszych parafiach Ryszarda Szablowskiego i Janusza Małeckiego.”. Bo Andrzej Gabryszewski został wypuszczony już wcześniej. To było budujące, że istnieje nie tylko ta Solidarność przez duże S, ale także ta codzienna, między kolegami.

A jak było w pracy?

Aresztowanie na trzy miesiące nie powoduje jeszcze, wg kodeksu pracy jakichś sankcji. W okresie aresztowania otrzymuje się połowę wynagrodzenia. Ale w tym czasie, w marcu są obliczane nagrody z zysków, tzw. „trzynastka”. Wtedy doszły mnie sygnały, że mój szef chce mnie pozbawić tej „trzynastki” za ubiegły rok. A ja przecież w ub. roku nie pracowałem tylko przez ok. dwa tygodnie. To była pierwsza próba represji, ale napisałem pismo do księgowości i jakoś dostałem pieniądze. Byłem potem ok. dwóch miesięcy na zwolnieniu lekarskim. Nabawiłem się wrzodów na żołądku i dwunastnicy. Nie byłem przyzwyczajony do takiego jedzenia. Poza tym przebywanie z tymi ludźmi, cała ta „kultura”, że jeden się załatwia, a drugi je... Dla zwykłego człowieka areszt jest czymś gorszym niż więzienie. Bo w więzieniu człowiek jest po prostu zamknięty, ale może być gdzieś w świetlicy, niektórzy pracują etc. A w areszcie śledczym siedzi się w zamkniętym pokoju przez 24 godziny na dobę. Jest tylko wyjście na spacer na 1 godzinę dziennie i raz w tygodniu wyjście do świetlicy. Raz w tygodniu jest łaźnia i tzw. wypiska. Proszę sobie wyobrazić przebywanie z tymi twarzami, nie najładniejszymi, przez 24 godziny na dobę. Dla człowieka normalnego wejście w takie przestępcze środowisko jest czymś okropnym. Musiałem to jakoś psychicznie odreagować. Nie da się aresztowania porównać z internowaniem. Internowali przebywali razem, całą grupą. Oni się wspomagali, wszystkim dzielili... A ja byłem sam ze złodziejami. Oni mnie wprawdzie pouczyli, co mam robić. Powiedzieli, że nie chcą wiedzieć, za co siedzę i żebym ja się nimi też nie interesował. A osobny rozdział to służba więzienna, klawisze... To sprawdzanie, konieczność rozbierania się co chwila, kipisze w celi. Albo Boże Narodzenie, najbardziej rodzinne święta w roku: bez rodziny, bez księdza.

Pisałem prośby o księdza, ale odpowiadali, że to niemożliwe. Pamiętam jak wtedy więźniowie uraczyli mnie czajem. Po wypiciu jednej szklanki czaju czułem się tak oszołomiony jakbym wypił kilka setek wódki. W drugi dzień świąt jeden taki porządny, starszy klawisz przyniósł mi opłatek. Pytam: „od kogo?”. A on nie chce powiedzieć. Ale miałem to szczęście, że razem ze mną siedział świetlicowy i on mówi, że trzy cele dalej siedzi Andrzej Gabryszewski. On pierwszy został przywieziony do aresztu i od razu poszedł pod celę. A zostałem przywieziony później i mnie wzięto od razu do fryzjera. A brodę miałem od pamiętnego 13 grudnia roku [81]. Wpadł klawisz i od razu zakazał ruszania tej brody. A po mnie do fryzjera przyprowadzono Gabryszewskiego. Fryzjer powiedział mu, że jestem, bo byłem charakterystyczny. Dlatego Andrzej wiedział, że jestem i przysłał mi potem opłatek. Byłem tylko zdziwiony, skąd on miał opłatek...

Czy jakieś widzenia w ogóle były możliwe?

No właśnie. W święta, w Nowy Rok absolutnie nie! Pierwsze moje spotkanie było z adwokatem, który w obecności strażnika wręczył mi paczkę papierosów Caro. Dopiero w połowie lutego miałem widzenie z ojcem przez szybę, w kabinie.

Wróćmy do czasu, kiedy został Pan wypuszczony z aresztu. Czy po tych dwóch miesiącach zwolnienia, o których Pan wspominał, powrócił Pan do działalności opozycyjnej?

Spotykałem się z kolegami jeszcze w trakcie dostarczania zwolnień do zakładu, bo mieszkalem blisko. Dowiadywałem się od ludzi, że byli też przesłuchiwani w mojej sprawie. Mówili, że owszem, kupili czasem ode mnie medal albo coś w tym rodzaju. Ale nie były to zeznania, które by mnie w jakiś sposób obciążały. A stawiano tych ludzi w naprawdę ciężkiej sytuacji. Były np. dwie kobiety samotnie wychowujące dzieci. I jedną z nich zabrano na komendę, a ok. 18-tej mówią do niej: „Jeżeli nie powie Pani nic na Szablowskiego, to nie wiem, kiedy Pani syna zobaczy.”. Były takie dwie – Anka i Barbara. Jak one potrafiły się godnie zachować, że nic na mnie nie doniosły, mając tak trudną sytuację? Kiedy już wróciłem do pracy, spotykając ludzi pytałem czy dalej będą płacić składki. I niestety, ludzie byli już bardziej ostrożni. Ale ja, wiedząc że będzie coraz gorzej, szukałem innej pracy. I 1 maja 1985 roku zacząłem pracować w PZU w Nowej Soli jako agent ubezpieczeniowy.

Czy dalej Pan prowadził działalność opozycyjną, czy zrezygnował Pan?

Powiedziałbym, że wszystko, co się wydarzyło bardziej podbudowało mnie do dalszych działań. Kolega, który naraił mi tę pracę, a którego znałem z Duszpasterstwa Ludzi Pracy przestrzegwał, że kierowniczką jest żoną ubeka. A ona kazała przynieść zaświadczenie o niekaralności. Dostarczyłem. Była bardzo zdziwiona. A sprawa wyglądała tak, że zatrudniłem się 1 maja, a dopiero 9 maja mieliśmy we czterech proces niejako sankcjonujący nasze aresztowanie. Zostaliśmy wtedy skazani na rok w zawieszeniu, grzywnę i przepadek tych wszystkich rzeczy, które u nas zatrzymano. Zacząłem działać w mieście. Wcześniej Szczepan Bąk został zaprzysiężony we Wrocławiu do Solidarności Walczącej. Zorganizował 8 osób. Przyjechał wtedy Wojciech... i w obecności ojca Ryszarda złożyliśmy przysięgę. W ten sposób powstał tu [w Nowej Soli] dziewięcioosobowy oddział Solidarności Walczącej. Trochę niby przycichło, ale w 1988 roku, kiedy „trzech Leninów (chodzi o hutę, stocznnię i kopalnię) zaczęło na dobre obalać komunizm, ludzie znowu złapali wiatr w żagle.

Porozmawiajmy teraz na temat skutków represji: które z represji, jakie Pana spotkały uważa Pan za najcięższe?

Najcięższe było chyba przesiedzenie tych 80 dni w warunkach, o których wspomniałem. Areszt jest zawsze najgorszą represją. A jeszcze tych siedem pierwszych dni, kiedy byłem kompletnie sam, bez żadnych wiadomości ze świata...

Czy na skutek tych represji nastąpiły w Pana życiu jakieś trwałe zmiany?

Ja myślę, że na skutek tych represji jeszcze bardziej umocniłem się w swoich przekonaniach. Dlatego powtarzając rotę przysięgi (bardzo radykalnej, gdzie jest nawet mowa o poświęceniu życia) nie wahałem się.

A negatywne skutki w postaci pogorszenia zdrowia? Wspominał Pan o wrzodach...

Teraz, po latach, zaczynał odczuwać bóle stawów. Sądzę, że może to być pozostałość po tych nie ogrzewanych aresztach, w których siedziałem między grudniem a marcem..

Czy w momencie, kiedy był Pan aresztowany ktoś udzielał pomocy Pana rodzinie? Czy ktoś się nią opiekował? Czy ktoś przyszedł z jakąkolwiek pomocą? Czy też nie było takie potrzeby?

Rodzina tak dokładnie nie wiedziała, co robię. Nie informowałem ich gdzie idę i po co. Kiedy mnie aresztowali przychodzili tu do domu (bo mieszkałem wtedy z rodzicami) mecenasi. Mówili, co ze mną. Ludzie też pytali, czy czegoś nie trzeba. Materialnie nie było źle, bo przecież jeszcze nie miałem własnej rodziny.

Czy mógłby Pan coś powiedzieć na temat pozytywnych skutków tamtych czasów. Nawiązał Pan wówczas przyjaźnie, które trwają do dzisiaj?

Wiadomo, że skutki gospodarcze stanu wojennego były tragiczne. Cofnęły nas o dziesięć lat itd., ale jeśli chodzi o inne sprawy? Rzeczywiście, nawiązałem znajomości, może nie były to przyjaźnie. Po transformacji każdy z nas poszedł jednak inną drogą. To samo widać przecież w kraju. Dwie partie wywodzące się z tego samego korzenia nie potrafią się dogadać. Podobnie wygląda to dzisiaj także w Nowej Soli. Najbardziej przyjacielskie więzi łączyły mnie ze Szczepanem Bąkiem, który niestety nie doczekał nowej Polski, bo pochowaliśmy go 3 maja (wtedy to jeszcze nie było święto) 1989 roku. Było to wielkie wydarzenie w Nowej Soli.

Jak Pan ocenia zmiany, które nastąpiły po roku 1989?

Myślę, że nie poszliśmy najlepszą drogą. Jeżeli już doszło do Okrągłego Stołu, to Wałęsa mógł jednak Sejm rozwiązać i ogłosić powszechne, wolne wybory. Z drugiej strony Lech Wałęsa dobrał sobie takich ludzi, jakich sobie dobrał. Nie było to pełne odzwierciedlenie opozycji. To była strona od środka w lewo. Niepotrzebna była gruba krecha. Przecież oni nie prosili nas o przebaczenie. Uwłaszczyli się, rozgrabili wszystko.

Porozmawiajmy przez chwilę o obecnej Pana sytuacji życiowej?

Byłem żonaty, ale już nie jestem żonaty. Mam 15-letnią córkę. Jestem sam. Prowadzę skromną działalność gospodarczą i jakoś ten wózek się pcha. Nie opływam w luksusy, ale starcza.

Czy ubiegał się Pan, ubiega lub zamierza ubiegać o jakieś odszkodowanie.

Muszę powiedzieć, że tutaj małżeństwo Perlaków zaangażowało się bardzo w sprawy odszkodowawcze dla osób represjonowanych. Byłem z nimi parę razy w biurze poselskich posła PiS –u w Zielonej Górze, który obiecuje nam pomoc prawników. Mamy się spotkać z mecenasem Piotrowskim (który był senatorem w I kadencji). Nie mówię tak, nie mówię nie! Mam trochę zahamowań, ale być może będę się ubiegał o odszkodowanie.

Czy zgłaszał się Pan do IPN, aby poszukać jakiś materiałów na swój temat? Czy ma Pan te sprawy za sobą, czy przed sobą?

Jestem w trakcie. Jakies pięć lat temu jeden z młodych redaktorów tygodnika nowosolskiego „Krağ” dowiedział się, że udostępniono mi materiały IPN i bardzo chciał się dowiedzieć, co ja z tym będę robił, kogo będę szantażował etc. Powiedziałem mu: „Człowieku! To jest moje życie. Chcę się dowiedzieć, co w nim było, tak jak ty chcesz się np. dowiedzieć czegoś o swoich rodzicach.”.

Rozmawiamy w biurze PiS-u i rozumiem, że jest Pan członkiem tej partii?

Tak, jestem członkiem PiS.

Dziękuję bardzo za rozmowę.

Dziękuję.